

Odcinek 1. OSTATNIE SŁOWA

Z natury jestem sceptyczny, i nie wierzę w bzdury. Tym bardziej nakłoniło mnie to do odkrycia prawdy, która - mam nadzieję za moją sprawą - rozwieje wszelkie bzdurne teorie idiotów, mających się za poważnych ludzi nauki, wierzących ślepo w coś, czego istnienie próbowano udowodnić od czasów Jezusa Chrystusa, - którego z kolei również faktu, iż żył ktoś podobny, nie ma jasných i twardych dowodów. Oczywiście liczę się ze swoją arogancją, jakobym znalazł to legendarne miasto. Zakładam, że może się tak zdarzyć. Wynik ostateczny, prawdopodobnie będzie niewymierny do tego, czego oczekują wszyscy, dzięki którym mogę wyruszyć w podróż do Europy środkowej.

Miasto podobno liczy sobie przeszło 600 tysięcy mieszkańców. Utopią, jak je nazwano, jest odizolowane od reszty społeczeństwa, jak i świata, będąc tym samym samodzielną i samowystarczającą fabryką, nieustannie tętniącym życiem. Założyciel, a w zasadzie autor, zbudował coś niemożliwego. - Najbardziej niedostępny punkt na naszej planecie; Nikt nie mógł do niego wejść, a jeśli mu się udało, wyjście z niego miało być po stokroć trudniejsze. I nie przesadzam w ogóle. Wejście do Raju było tylko dla zasłużonych.

Słyszałem osobiście pogłoski i plotki mówiące, że miasto zaczynał budować w wieku 19 lat, w roku 1913, jakiś nieznany architekt, artysta, podobno geniusz, nazwiskiem Adam Kat, urodzony w roku 1894. Tak przynajmniej się go określa, i takie dane przechodzą w formie ustnej. Historia mówi, że Kat odziedziczył przeogromną fortunę, którą przeznaczył na zrealizowanie największego marzenia. - Chciał zbudować miasto oparte na jego wizji świata doskonałego. Całkowicie niezależnego od nikogo i niczego - włącznie z nim samym.

Miasto będące artystycznym dziełem, któremu on sam miał nadać jedynie szczątkowy scenariusz, założenia i plan na samym początku, jakby w pilocie serialu, by kolejno to bohaterowie zaczęli opowiadać swoje własne historie - z pominięciem autora, mającego być widzem obserwującym bohaterów, tworzącą historię z pominięciem jego samego.

Historia mówi, że z początku postawił on kilka budynków, mogące tworzyć wieś. Nie było w nim w ogóle ludzi. Gdy zaczęli napływać różni zainteresowani, Adam Kat nie mógł tego znieść i począł budować swój labirynt, na którego fundamentach konstrukcji, kładł kolejne budynki. Pracował przez kolejne lata nad swoim najdoskonalszym dziełem, aż do roku śmierci latem 1966, dożywając sędziwego wieku, 72 lat.

Mówi się, że jeśli nie jest się mieszkańcem, lub nie zna się planu, możliwe jest całkowicie zagubienie w mieście. Plan podobno był tylko jeden. Ponadto od momentu jego śmierci, aż do dzisiaj przez kolejne lata, miasto stoi wyizolowane. Podobno. Nikt do niego nie wszedł, ani z niego nie wyszedł. Nie wiadomo czy ktoś tam żyje i czy istnieje cokolwiek podobnego do wizji śmierci, będącym realnym powodem, dla którego nie mogą go opuścić.

Za życia Adama Kata, przed skończeniem swojego dzieła, wpuścił na ulicę garstkę ludzi. Niektórym udało się znaleźć wyjście, inni tam pozostali. Po latach, praktycznie, aż do dzisiaj, nie można było znaleźć żadnych pewnych informacji. Tylko plotki. - Mniej więcej od roku 1939 do roku jego śmierci w 1966 do miasta nie zdołał wejść nikt, a wyszły jedynie dwie osoby. Uważa się je za kompletnie przypadkowe.

Po śmierci Kata, wejście i wyjście do dziś, pozostaje nieznane i niemożliwe. Nie wiadomo, w jaki sposób, i na jakich prawach, i czy w ogóle żyją tam jacyś ludzie. Dopiero teraz, po przeszło dwóch latach badań, natrafiłem na ślad, mówiący mi wyraźnie, że miasto przez cały ten czas się rozwijało i rozwija, po dzień dzisiejszy. Skąd o tym wiadomo? Utopia popełniła błąd, albo miałem niezwykle szczęście, że udało mi się jako jedynemu znaleźć tam lokacje, i samo wejście.

Ostatecznie opieram swoje badania na poszlakach i miejskich legendach zasłyszanych po drodze. Wiem, że dzieją się dwie rzeczy, wyczuwalne na kilometr. Miasto przestało się przebudowywać, z powodu zakończenia całego projektu, który zaplanował Adam Kat. Nie wiadomo, kto i w jaki sposób przebudowywał miasto. Prawdopodobnie miasto zrobiło to samo.

Legenda mówi, że Adama Kata znaleziono martwego na atak serca w jego pustym domu. Leżał na podłodze w swojej sypialni, przed fotelem i wciąż włączonym adapterem, na którym

obracała się pierwsza strona, pierwszego albumu Pink Floydów. Mówi się, że Adam Kat został zaklęty w swoim mieście i w momencie, kiedy zostanie ono ukończone, Adam powróci, i sam stanie się miastem myślącym, posiadającym wolną wolę. Miasto stanie się Adamem Katem. - Inni wierzą zaś, że to już się stało, i miasto jest teraz ciałem Adama Kata. Myślącym, świadomym organizmem. - Do tego dochodzą pytania: Gdzie leży ciało Adama? Czy naprawdę żyje? I czy istniał naprawdę? Wiadomo, że dzieło Kata, po 120 latach zostało zakończone. Świadczy o tym fakt, że przez ostatnie dwa lata wypłynęło więcej informacji o nim, niż przez ostatni wiek...

Mgliście pamiętam swoje życie. Niektórych elementów w ogóle, jak na przykład dzieciństwa. Zawsze sobie tłumaczyłem, że powodem tego musiała być nuda. Do momentu aż dowiedziałem się, że mam kłopoty z pamięcią. Czasami to przeszkadza bądź irytuje. Tym bardziej nie potrafię sobie ani przypomnieć, ani skojarzyć, ani w ogóle w jakikolwiek sposób pozyskać informacje, od samego siebie, na pytanie - skąd się o tym dowiedziałem, i dlaczego jest to dla mnie priorytet. Wiem po sobie, że skoro myśl o tym jest silna i trwa we mnie długo. - Praktycznie nigdy o tym nie zapominałem, musi to być bardzo istotne. I chociaż nie pamiętam pierwotnego wrażenia, celu czy źródła, próbuję usilnie odnaleźć owy Azyl już od ponad dziesięciu lat. Czułem, że gdy odnajdę to miejsce, pamięć powróci.

Było coś jeszcze. Fascynacja. Ciekawość. Wiadomo. Będąc racjonalistą często się białem w myślach, nie potrafiąc znaleźć wyjścia. To było na zasadzie fascynacją legendami, bajkami, książkami. Mityczne miejsce z mitów, w którym mieści się inny świat. Jak wejście do innego świata. Nie wierzyłem w zasłyszane historie, jednak gdyby faktycznie istniało takie miejsce, (co jest niemożliwe) musiałem je odnaleźć. Nawet, jeśli miało się okazać jedynie kupą kamieni sprzed narodzin Dinozaurów.

Obecnie? Będę miał szczęście, jeśli uda mi się znaleźć cokolwiek. To było na zasadzie zakładu z samym sobą. Nastawiałem się, że przegram. Założyłem się ze sobą jeszcze o to, co zrobię, gdy uda mi się nie tyle odnaleźć to miasto, ile będzie ono wyglądało tak, jak z opowiadań. Przez wiele lat olewałem ten temat zajmując się uczeniem w liceum. Choć temat dobrze zawsze był podświadomie, przeze mnie zauważalny. Nieraz zdarzają się przypadki tak niezwykle, że pozostają w pamięci i nawiązują ze sobą swoisty, mentalny romans - nie łącząc, ale nawiązując emocje. To właśnie jeden z takich przykładów. - Były tylko dwie rzeczy w życiu, które wiedziałem, że nigdy ich nie dokonam. Znalezienie Azylu i Adama Kata.

Całe ostatnie pół roku namierzałem potencjalne miejsca, gdzie mogłaby znajdować się Azyl. Odwiedziłem dwa miejsca okazujące się jedynie atrakcjami turystycznymi. Faktycznie, zagubionych, mitycznych miast. Jak Atlantyda, Eldorado czy miasteczko Salem. Trzeci raz był najbardziej niepewny, niefortunny i pechowy. Przez długi czas zastanawiałem się, czy niczego tam nie było, czy też nie udało mi się, i nigdy nie uda odnaleźć Edenu. -W najmniej nieoczekiwany momencie mi się udało. Poleciałem na Islandię, gdzie w samym środku kraju miałem przemierzyć niesprecyzowaną powierzchnię wypełnioną śniegiem - jak na biegunie północnym. - Nie muszę chyba wyjaśniać, z jakiego powodu ominąłem miasteczko Salem.

Uzbrojony w lepsze ekwipunki niż nie jeden podróżnik, wkroczyłem na śnieżną pustynię wynajętym pojazdem śnieżnym. Nie było możliwości tam dolecieć. Tak przynajmniej mówili wszyscy, od których chciałem wynająć samolot i pilota. - Jak już znalazłem samolot, to nie znalazłem pilota, a gdy znalazłem pilota, ten nie chciał za nic w świecie lecieć na samobójczą wyprawę, z której nie wraca nikt, z punktu, w którym nie ma - jak poświadczał kilkakrotnie - absolutnie niczego. To było jak Trójkąt Bermudzki. Pilot powiedział wielokrotnie, że nikt tam nie chodzi, bo tam nic nie ma. Widać było, że coś ukrywał, ale szybko zorientowałem się, że jedynie własną niewiedzę. Postanowiłem go przycisnąć. Powiedział, że to jeden z kilku terenów na świecie, który jest niedostępny dla kogokolwiek. Nikt nawet nie wchodził na teren śnieżnej pustyni. Niektórzy uważali, że ta ziemia jest opętana. Że mieszka na niej diabeł. Że gdy się zacznie iść, to będzie się szło po wieki. Dodał nawet, że nie słyszałby przez ostatnią dekadę wkroczył na ten wyizolowany i niedostępny teren jakikolwiek śmiałek, a jeśli był taki, to na pewno nie powrócił.

Zawsze uważałem za niedostępne dżungle, góry, takie miejsca, ale płaską powierzchnię, na której nie ma praktycznie w ogóle ani drzew, ani żadnych krzaczków. Dałem za wygraną, ale po bardzo długim czasie, a i tak byłem zły na siebie. Poczułem się zażenowany. Jakbym był w tanim akcie w kiepskim filmie. Sceny typu „dotrzeć na niezbadany ląd, na którym żyją demony”, „przeklęte miejsce”, „duchy”, bzdury. Łatwowierność i irracjonalny strach przed nieznanym był mi obcy. Zawsze fascynowało mnie to, co inne, mimo iż wierzę w fizyczne i materialne potwierdzenia. Nie bałem się. Bo co gorszego może człowieka spotkać, niż inny człowiek? Ich należy się bać najbardziej! A raczej ich zaściankowości. Przez zacofanie okolicznych wieśniaków, i trudności w nawiązaniu nie tyle rozmowy, co jakiegokolwiek chęci do wymiany słów z obcym, gościem, potrzebującym, byłem skazany na pojazd naziemny. Przemierzałem po linii prostej w sam ośrodkowy punkt pustyni. Musiałem cały czas trzymać kurs, bo kilka razy w ciągu pierwszego dnia przypadkiem zjechałem z trasy, a po czwartym razie, nie potrafiłem namierzyć drogi.

Pod koniec kolejnego dnia musiałem się zatrzymać, choć chciałem jechać tak długo, aż przejadę całe pustkowia. Uniemożliwiła mi to irytująca śnieżycy, która dosłownie zatrzymała mój pług. Tej, pierwszej nocy zdałem sobie sprawę z tego, co robię. Dopiero to do mnie dotarło. Moje życie jest tak płytkie, że każdy mógłby opowiedzieć tysiące historii o dziesiątkach tysięcy ludzi podobnych do mnie. Podążałem za nierealną ułudą. Mirażem, o którym pisali szaleńcy, kłamcy, narkomani, psychopaci, świry i artyści. Nie można im wierzyć. Nie wierzyłem w ani jedno słowo - a jednak tu przybyłem! I to mnie irytowało najbardziej, bowiem okazałem się najbardziej skretyniały spośród ich wszystkich!

Po kilku godzinach nawałnica minęła. Noc była tak jasna, że od razu chciałem się ruszyć i jechać dalej. Jeśli umrę tutaj, to trudno. Byłem na to gotowy. I tak nikt na mnie nie czekał, ani nikomu nie jestem do niczego potrzebny. Moja nieobecność stworzy problemy innym. Obiecałem sobie, że jeśli tym razem nie znajdę Azylu, przestanę jej szukać. Jeśli ją znajdę, zostanę w niej i napiszę o niej książkę. Chciałem ją znaleźć, bo nie chciałem wracać do świata, w którym tkwiłem zbyt długo, i nie ma ani on, ani życie, ani cokolwiek innego w nim nic do zaoferowania. Byłem w przekonaniu o pewności miejsca, w które się udawałem. Wiedziałem, że coś tam jest, ale nie wiedziałem co.

Nie mogłem uruchomić zamrożonego silnika. O świcie zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie. Pejzaż był spokojny, klarowny i niebieski. Horyzont był tak nieprecyzyjny, że nie sposób było odgadnąć, czy w oddali mieniły się chmury, budowle, czy coś cokolwiek innego. Mój kompas się rozregulował, ale nie w sposób, że wskazówki latały zdeorientowane po tarczy, spanikowane brakiem punktu odniesienia, - lecz wskazywały jeden kierunek. Kompas zatrzymał się, jak czas w zegarku, lub zamierał, jak dźwięki uderzeń gasnącego metronomu. Sprawdziłem inne miejsca w okolicy kilku metrów. Wskazówki w ogóle się nie poruszyły. Postanowiłem ponownie odpalić silnik. Nie zapalił i tym razem. Stałem tak możliwie, że nawet ze dwadzieścia minut, aż zapalił, wystrzelił huk i dymem, i rozlał czarną ropę, rozplywającą się nieprzyzwoicie rozgrzana, złościąc koleiny w śniegu, jak atrament na papierze. Byłem załatwiony. Mogłem się położyć i zdechnąć. Nie miałem pojazdu, prowiantu, jakiegokolwiek środka komunikacji, - choć byłem przekonany, że i tak bym nie złapał żadnego sygnału. Definitywnie było gorzej niż kiedykolwiek.

Byłem spokojny. Nie mogłem spanikować. Wiedziałem, że miałem do pokonania powierzchnię, na której można by było ulokować małe państwo. Wziąłem wszystko, co mogłem unieść i ruszyłem. Przeszedłem parę metrów, a gdy się obejrzałem, nie dostrzegłem mojego pojazdu. W dodatku opadała mgła rozmywająca linię horyzontu. Brakowało tylko tego, by grawitacja przestała działać, - jeśli w ogóle to możliwe. Podjąłem samobójczą wyprawę, która trwała cały tydzień, a gdy zmierzchało dotarłem pod ową świetlistą budowlę złożoną z wydawać by się mogło, samego szkła i luster. Przynajmniej tak to wyglądało. Jak U.F.O.! Debilizm, tak wiem.

Na horyzoncie nie było niczego. Gdy próbowało się spojrzeć dalej, w środek, raziło stamtąd światło, uniemożliwiające dostrzeżenie czegokolwiek. To nie było normalne widowisko. Słońce miałem za plecami. Nie było tu niczego. I dalej, w stronę tego rozświetlonego punktu, mogącego być fatamorganą. Prę lekko podniecony, że miejsce, do którego dążyłem, mogło skrywać historie,

których poszukuję. Chciałem by to był Azyl. Tak, choć bałem się, że ulegam złudzeniom, wydawało mi się, że idąc cały czas przed siebie, już kilkanaście lat? Tak mi się zdawało. Światło na horyzoncie nie jest jaśniejsze, ale, że przestrzeń mnie od niej dzieląca nie zmniejsza się nawet o kilka metrów. Robiłem postój tylko w chwili, gdy wskazówki kompasu poruszały się. Z początku tkwiły sztywno w swoich ustalonych pozycjach, jak ściągnięte magnesem, by rozluźnić się i obracać wokół osi coraz szybciej. Drżał mi on w ręce, a wskazówki obracały się z wibrującym brzęczeniem, jak śmigła kwantowego ptaka.

Kompas się nagrzał, a wskaźniki, dyrektywy, wytyczne i sugestie - zatrzymały wskazując moją lewą stronę, na której się zatrzymały, jak uprzednio. Wychodziłem z założenia, że jeśli wokół nie ma niczego, ani nikogo, w sytuacjach takiej jak ta, to powinno się nie myśleć, ile zdawać na instynkt i wylapywać wszelkie znaki, wydające się być wskazówkami albo, chociaż jej namiastkami. - Albo znaleźć coś ostrego. - Kiedy kompas zamarł, spojrzałem przed siebie na drogę, którą podążałem. Przede mną powinno rozlegać się blade światło. Nic takiego nie było. Światło znikło z horyzontu. Czuję się, jakbym uległ oszustwu. - Zupełnie, jak w słoneczny dzień, kiedy widzi się odbłask światła w szybie naprzeciw własnego okna, odbijającą kolejno światło, by później przestać. Tak to wyglądało. Spojrzałem w lewą, wskazaną przez kompas stronę. I przed siebie. Coś się mieniło, ale nie było to tak pewne, by na ślepo za nim podążać. Odwróciłem się i postanowiłem iść tak długo, aż padnę.

Dotarłem w wąskie przejście, którego końca i długości nie potrafiłem oszacować. Sunąłem półmetrowym przesmykiem, i już po dziesięciu minutach w całkowitych ciemnościach, mając nadzieję, że tam gdzie mnie owa droga zaprowadzi, nie okaże się grota szaleństwa czy jaskinią śmierci, całkowicie pochłaniającą światło przez ciemność. Ślepą uliczką.

Determinacja skróciła mi drogę. Strach też. Kontrolowałem czas na tyle, na ile pozwalało mi łyche światło dobiegające z cienkiego przesmyku światła, pęknięcia w górze. Kiedy zdałem sobie sprawę, że idę już którąś z rzędu dekadę...

Poanowiłem, jak planowałem, przystanąć i podjąć decyzję. Czy iść dalej, do oporu, drogą, mogącą ciągnąć się w ten sposób kilometrami, czy też zawrócić i znaleźć inną drogę? - Poanowiłem iść dalej. A raczej ciągnąć się przez wąski przesmyk. Minęły trzy kolejne godziny, gdy zdałem sobie sprawę, rozmyślając, a miałem na to idealną chwilę i czas, że pierwszy raz w życiu bałem się ciemności. Wąska szczelina nade mną, gdy zniknęła, wprawiła mnie w otępienie. Byłem jak ślepiec, który swą ułomnością musi zdać się na pozostałe zmysły, istotne zazwyczaj w momentach seksualnego aktu i jedzenia, aniżeli praktycznych potrzeb.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić takiego życia. Kiedy nachodziły mnie fobie toczące oblęd, próbowałem wyteńczyć maksymalnie mój umysł, by mieć przed sobą tylko cel. W samotności, sam ze sobą, w ciemnościach, z własnymi demonami, które jeśli je uwolnię, nie pozwolą mi stąd wyjść nigdy. Sprawia, że nawet prosta droga może mnie zwieść, i przez nagły atak paniki i szoku, moja orientacja w kierunkach będzie tak zaburzona, że nawet nie zwrócę uwagi na to, że idę w odwrotnym kierunku. Nawet będąc w takim miejscu całkowicie świadomy, gdy pojawia się myśl - „Hej, czy ja cały czas idę tą samą drogą? Niemożliwe jest bym zawrócił. Nie zawracam, prawda? Poanowiłem iść przed siebie.”

Kiedy pojawia się zwątpienie, chociaż w najmniejszej, nieznaczącej formie, można być pewnym, że prędzej czy później ona się wyrwie i przerodzi w histerię i rozpacz powodującą panikę oraz strach, mogący spowodować, że stracę zmysły i oszaleję, pozostawiając moje zwłoki pewnie do końca świata nie odnalezione. Będę archeologicznym nabytkiem dla przyszłych odkrywców z gwiazd, spoza naszej planety. Jeśli myślałem o tym w ten sposób, sam oszukiwałem siebie, choć myśl była przyjemna i prawdopodobna, wtedy napięcie mijało. Miałem nikłe poczucie tego, że moje życie przysłuży się komuś w wartościowy sposób. Życ bez jakichkolwiek osiągnięć, które można pozostawić kolejnym pokoleniom, chociażby na znak, że taki ktoś żył.

Niemal w milczeniu medytując, coraz bardziej z każdą godziną wydawałem się zapadać w sobie. W końcu wielu mnichów i ascetów przyjeżdżało do miejsca w górach, w których mogli oddać się medytacją, świadomym snom, filozofią, automatycznym myśleniem, uwalniając w ten sposób umysł, co za tym idzie, nikłe ilości DMT, chyba najsilniejszego, naturalnego psychoaktywnego

narkotyku, uwalnianego w naszym mózgu w momencie narodzin i śmierci. Musiałem tylko sobie uświadomić, że gdybym uległ halucynacjom, muszę zmusić się, do tego, by zrozumieć, czym one są, i że nie są prawdziwe. Są nadrealne. - Choć w tej sytuacji powinienem ich posłuchać. W owej chwili rzeczywistość była dla mnie ekstremalnie nie do zaakceptowania. - Czułem się jakbym się w sobie zapadał, i w siebie odlatywał.

W niektórych momentach miałem wrażenie, że się zatrzymałem, ale kiedy postanowiłem zmusić ciało, by te odezwało się do mnie, zdumiony nie mogłem uwierzyć, że wciąż idę. Poruszam się miarowo, systematycznie, rytmicznie. Jak podczas rytuału. W mantrze idących wielu legionów mnichów pielgrzymujących trzeci wiek pod rząd uniwersytetu, no jakiegoś tam, bo nie wiem, kto co skończył.

W pewnym momencie wyczułem rozwidlenie szczeliny, i mogłem iść już tylko prosto. Moje ciało nie potrafiło się po takim wysiłku przestawić na inny tor. Byłem, jak zgnieciona kartka niemająca zamiaru wrócić do stanu sprzed zgniecenia, i zwija się cały czas w pozycję, decydującą o jej przyszłym wyglądzie i znaczeniu. Ruszyłem w korytarz. Czułem świeże powietrze. Dalej było ciemno, a ja broczyłem po kostki w lodowatej wodzie. Bałem się, że oślepi mnie słońce, jeśli je znajdę. Po godzinie błędzenia otępiały i zdeorientowany, zacząłem widzieć. Światło nikłe, niezauważalne dla kogoś, kto nie przyzwyczyił wzroku do ciemności tak intensywnej, i trwającej tak długo, mnie porażało w niewysłowionych onomatopejach, prymitywnej death metalowej furii.

Szedłem dalej skalnymi uliczkami, widząc coraz intensywniejsze światło, przed którym już musiałem mrużyć oczy i zasłaniać się rękawami. Nigdy nie widziałem tyle światła naraz, jak w całości od miesiący nie widziałem stu złotych w całości. Maszerowałem dalej niepewny, że idę wciąż zapatrzony w kompas. Zwolniłem krok, kiedy wskazówki zaczęły się przechylać ponownie w lewą stronę. Kłąłem, na czym świat stał pode lub nade mną. Przeklinając samego siebie, swój idiotyzm, bez krzty sensu. Stałem i obracałem się po własnej osi powoli wraz ze wskazówkami. Kiedy zatoczyłem półkole, zauważając, że ślady na śniegu przypominają księżyc w połowie uśpiony na niebie. Wskazówki się naprężyły, jak erekcja licznika Geigera, i wystrzeliły w przeciwnym kierunku, jak potencjometr wyłapujący nagły atak, zbyt intensywnych dźwięków, czy nieznanych fal sejsmograficznych. Nie próbowałem nawet rozważać, dlaczego kompas zachowuje się w ten sposób. Wskazówki obracały się każda w swoją stronę, i zatrzymały obie w przeciwnych kierunkach. Spojrzałem najpierw w prawo, i ponownie na obydwa wskazane kierunki. Teraz tył za moimi plecami. Miałem dość. Zamachnąłem się i wyrzuciłem cholerstwo w śnieg. Załamałem się i wpadłem w horyzont, nie mogąc dostrzec żadnych kształtów. Przeleciałem wzrokiem panoramę wokół moją desperacją. A kiedy się odwróciłem ponownie w stronę, w którą zmierzałem cały czas, napis „Azyl” wysoki na 500 metrów, biegnący wzdłuż ośnieżonego muru, mówił aż zbyt dosadnie, że byłem na miejscu. U wrót. Napis był tak ogromny i przytłaczający, że nie było sposobu by nie osiadł na psychice oglądającego.

Przemknąłem wzdłuż ściany pnącej się w nieskończoność, prowadzącą w każdą ze stron. Niebo pochłaniało mury fortecy. Nie wiedziałem skąd biło światło elektryczne, ale nie było to już istotne. Prowadziło mnie do celu. Dotknąłem litej, płaskiej ściany - a pod dotykiem taką nie będącą. Ostrożnie dotykałem powierzchni, idąc wzdłuż. Mój zmysł dotyku nie pokrywał się ze zmysłem wzroku. Nie byłem pewny czy to, co widzę istnieje, czy też jest to omam spowodowany sytuacją doprowadzającą mnie do szaleństwa. Rozważałem nawet, że mogłem ostatecznie nie być na pustyni, ani nie być nawet tym kimś, za kogo się do tej pory uważałem. - Że byłem w kaftanie, i krzyczałem do pielęgniarki „gdzie jest mój kompas?!” - Moja ręka chwyciła coś, co postanowiłem pociągnąć. Gdy nie dało rady, popchnąłem i rozległ się ciepły powiew, rozlewający się w oczekiwaną materię. Bramy rozwarły się szeroko. Ciemność wylewała się niemal czarnym światłem na śnieg i przestrzeń wokół mnie. Mimo, iż był sam środek dnia, światło w żaden sposób nie oświetlało niczego. Patrzyłem jak zahipnotyzowany. Czerń rzucała cień w moim kierunku, tak samo, jak żarówka rzuca światło na określoną przestrzeń, zazwyczaj w okręgach. Spod drzwi zaczęła się ona rozlewać, jak farba, będąca niemal żyjącą substancją, z własną świadomością.

Mogłem przysiąc, że ta czeka na moją reakcję i ostateczną decyzję, przed którą podjęciem ostatecznie, musiał minąć nieokreślony czas. Stałem przed faktem dokonanym. Miałem

świadomość, że prawdopodobnie mam niezaprzeczalne potwierdzenie istnienia Azyłu. Obecnie jestem wewnątrz. Nie wiem czy uda mi się stąd wyjść, ani czy uda mi się wysłać moją obszerną relację z pobytu tutaj. Ludzie żyjący tu od dekad, mogą nie wiedzieć, że poza tym miastem jest jeszcze coś, a jeśli wiedzą, to traktują to jak wymysł, fikcję.

Znalazłem się przy wielkich skałach, pomiędzy których wyszedłem - mam nadzieję, że niezauważony - na samym środku plaży. Ogromny czarny ocean wydawał się bić światłem w niebo. Po horyzont wszystko było puste. Tylko ocean. Niebo zaś było czerwone. Gdy zwróciłem się ku lądowi, nie mogłem uwierzyć, że widzę coś takiego. Momentalnie przyjąłem, że znalazłem się w jakimś mieście budowanym przez miliardy ludzi, przez pięć milionów lat. Niemożliwością było, by miasto mogące być potężną stolicą, wydaje się rozchodzić i biec w nieskończoność, dla rewersu pejzażu przeciwnego po drugiej stronie. Wydawało się, że to oplata ono cały świat, ciągnąc się bez krawędzi w nieskończoność.

Za murami drzwi, przez które ledwie się przecisnąłem do korytarza, jakby klatki schodowej, prowadzącą mnie prosto na zatłoczoną i pełną wszystkiego, jak w największych metropoliach świata, w sam środek miasta. Byłem w zbyt wielkim szoku, by się otrząsnąć. Jak mi się to w końcu udało, odwróciłem się do tyłu, ale korytarza nie było. Lita ściana jednego z bloków. Nie mogłem wytłumaczyć sobie tego fenomenu. Mogłem niemal przysiąc, że się nie ruszyłem nawet na krok. Przeszedłem na parę metrów ścianę w jednym i drugim kierunku. Ale nie było żadnego wejścia, tylko okna zawieszone na dwa metry nad ziemią. Zachciałem wrócić do miejsca, w którym stałem wcześniej. I wyszedłem w specyficzny, pusty plac o zmierzchu, na którym niebie malowały się rozłożyste fabryki nieznanego pochodzenia i nieznanego przeznaczenia swej produkcji. Cały pejzaż był nie do odkrycia. Panował tu chaos ze snów, a ja czułem się, jakbym lawirował ponad tym będąc uporządkowany. Nawet, jeśli okazałoby się inaczej, to jestem już za starym psem, by nauczyć się nowych żartów. Do momentu aż albo ja, albo wszystko wokół nie będzie zwracać na mnie uwagi.

Wyglądało to wszystko tak, jakby ktoś zebrał różne śmieci i wywalał je na podłogę tak długo, aż nie utworzyły one pewnego rodzaju abstrakcyjnej harmonii, tworząc w człowieku uczucie, że traci zmysły. Wypierd w stylu Jacksona Pollocka. Widziałem fragmenty, i większe w oddali miejsca, osiedla, społeczności, mieszkający w przeogromnej kolonii, wydające się niemożliwe. Pewnie największe miasta świata musiałyby, na co najmniej ćwiartkę swojego kraju połączyć w jedną, wielką megastrukturę, samo-istniejącą i mogącą przeżyć, by ogrom tego miejsca, przepych i baśniowość, przeczyła wszelkim prawom logiki. Marzenie megalomana. Przesycone.

Widziałem Atlantyde, i zaginione miasta Sumerów. Miasta zaginionych miast. Wieża tokijska wyglądała, jak wygięty długopis. Wszystko było nie na miejscu. Miasta z legend, czy faktycznie wymarłych, zagubionych lub zapomnianych, znalazły się w jednym miejscu. Miasto jawiło się jako potężny pomnik, muzeum, w którym wszystko było dziełem sztuki o niekończącej się powierzchni, mierzonych w setkach kilometrów. Gdybym chciał zwiedzić każde z nich, czy poznać każdego napotkanego człowieka, nie starczyłoby mi życia! Wielkie miasta wymuszają na człowieku stałą aktywność, wynikającą z nadmiernej fascynacji wszystkim wokół. Czułem się tak teraz. Jak dziecko, w dodatku turysta, bez mapy, rozumu, i pieniędzy czy czegokolwiek. Jak wieśniak, który zawsze chciał pojechać do Nowego Jorku.

Pamiętam, że jak byłem mały, to widziałem miasto, ale może było to jedynie miasto duchów. Może mi się przyśniło, albo po prostu jako dziecko wywarło na mnie to takie wrażenie, że po latach wspomnienia uległy przekształceniu. Stają się nawet po latach czymś, czego nigdy nie było. Fikcją. Kłamstwem. Ale czy każda fikcja jest kłamstwem, albo kłamstwo fikcją?

Wydawało mi się wówczas, że na niebie są dwa księżyce, ale poświadczyć, ani udowodnić nie mogę. Zaszedłem na środek placu, na którym stały stoły okryte czerwonymi obrusami. Wpatrywałem się w nie próbując pojąć, dlaczego pomimo ogromnego wiatru, nie odlatywały one wraz z nim. Mogły być przymocowane, ale nie potrafiłem wymyślić, w jaki sposób. Pomimo, że nie należałem do stada, zapragnąłem porozumieć się z kimkolwiek, mając nadzieję, że będziemy mogli się porozumieć w tym samym języku...

Obszedłem plac dookoła, a gdy się odwróciłem, stałem naprzeciw nieoznaczonej budki z jedzeniem. Zwyczajni ludzie patrzyli na mnie, jak na odmienca z innej planety. Widać było po nich, że każdy miał za sobą ciężki dzień. Miesiąc. Rok. Życie. Ja mogłem być kolejnym problemem. Usiadłem i zamówiłem coś do picia, by zaraz ugryźć się w język, bo nie miałem pieniędzy. Kiedy sprzedawca zauważył moje zakłopotanie, przerwał mi w pół wydechu, i powiedział:

- „Nie trzeba. Na koszt firmy.” - I po tych słowach rozmowy wokół zamarły, lecz nie przeze mnie. - Witamy w Psychodelicach.

Kucharz zatrzymał się w połowie drogi z wielką misą wody, którą upuścił parującą na ziemię. Ktoś wyłączył radio, a ktoś inny maszynkę do mięsa. Ciszę rozerwał przerażający krzyk kogoś niedaleko. Z oddali ten ktoś wyglądał, jak obłąkany pijaczyna wypełniony dzikością. Zatrzymał się brudny i zakrwawiony, przed nami wszystkimi, stojącymi w niemym oczekiwaniu. Cisza inspirowała jego skupienie. Powiedział...

- Nie... pijcie... wody! - I momentalnie padł na ziemię nieruchomy.

Jak umówieni, wszyscy wybuchli śmiechem na ten makabryczny, jednocześnie groteskowy zgon. Jeden z pracowników i podszedł do niego z butelką wody i sprawdził mu puls.

- Wykręcony. Zapity na kłódkę. Prawie na pewno. - Odwrócił nogą ciało na plecy.

- O cholera! Patrzcie! To przecież Adam Kat! - Wzdrygnąłem się po tych słowach, i złamana blokada przebrnęła przez tłum, by tylko przyjrzeć się ciału.

Jeśli to naprawdę Adam Kat. Ten, którego szukam. Będzie prawie pewne, że znalazłem ten właśnie Azyl! - Pomijając suchy żart, że tym samym, cel mojej wędrówki został zakończony.

Nie sądziłem jednak, że już na początku zostanę świadkiem sceny śmierci człowieka, kończącej długiej historii czyjegoś żywota. Nie wiedziałem jedynie, czy śmierć najważniejszego bohatera na początku książki będzie zwiastunem jej kontynuacji, czy też mojego końca.

Wiedziałem jednak, że jeśli mam dowiedzieć się - a bardzo tego chciałem, - co doprowadziło tego człowieka do takiego stanu, będę musiał poświęcić trochę czasu i włożyć w to dużo trudu. Jeśli to istotna sprawa, będę musiał dowiedzieć się, od czego to się zaczęło, nawet, jeśli będę musiał zebrać wszystkie historie od każdej osoby z osobna, by ułożyć ją w sensowną całość. Historie same przychodzą. Trzeba umieć je tylko złapać. Tkwiąc w punkcie, gdzie miejskie legendy zdominowały wszystko. Miasto tym samym stało się głównym bohaterem. Miejscem, z którego nie można się wydostać. Legendarne miasto, którego legendy miałem zamiar spisać. Ostatnie miasto na świecie. - Podeszło dwoje młodych ludzi. Jeden z nich spuentował to wszystko zdaniem:

- Jeśli mam kiedyś umrzeć, to wolałbym wypowiedzieć bardziej błyskotliwe ostatnie słowa...